

STANISŁAW WCISŁO



inż. Józef Marek

TYMBARK 2018

*I tak chodził Marek po tymbarskiej ziemi,
Gdzie gaworzył sobie z gazdami wszystkimi,
Zaś gdzie tylko w polu noga jego stała,
Wkrótce jabłoneczka nowa zakwitła*

S.W.

Wydawca: Urząd Gminy w Tymbarku

Finansowanie wydania: Firma Tymbark

Fotografie: archiwum prywatne rodziny Józefa Marka

Szanowni Państwo,

Do rąk Czytelnika oddajemy publikację poświęconą życiu inż. Józefa Marka. Człowieka niezwykle zasłużonego dla Gminy Tymbark i Limanowszczyzny. Droga Jego życia nie była łatwa i od najmłodszych lat zmagał się z przeciwnościami losu. Jego wiedza i ciężka praca, połączone z determinacją, poświęceniem i pasją przyczyniły się do rozwoju Tymbarku i okolicznych miejscowości, a także do podniesienia poziomu życia lokalnej społeczności.

Działalność Józefa Marka i historia Jego życia, tak silnie przeplatająca się z dziejami naszej Ojczyzny, może stać się wzorem do naśladowania dla obecnych i przyszłych pokoleń. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż jako młody człowiek służył w Legionach, co z pewnością wpłynęło na ukształtowanie Jego postawy patriotycznej i późniejsze decyzje.

Wydanie niniejszej publikacji, w roku kiedy obchodzimy 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, ma na celu nie tylko upamiętnienie postaci Józefa Marka, ale także pokazanie wartości, które stanowią fundament naszej wspólnoty samorządowej.

Paweł Ptaszek
Wójt Gminy Tymbark



inż. Józef Marek

Wstęp

Inżynier Józef Marek, nieprzeciętny człowiek, którego pełny życiorys mógłby wypełnić wiele tomów. Tu w powiecie limanowskim kiedyś niemal każde dziecko wiedziało kim był i czym zasłużył na pamięć potomnych. Wielu jednak wyobraża sobie, że był to bohater idący przez życie zbierając pokłosie swej pracy przy dźwiękach fanfar i bębnow głoścących Jego dzieła. Niewielu natomiast pamięta ile, w swym stosunkowo krótkim życiu, wycierpiał i jakich doznawał upokorzeń za swe poczynania dla dobra społeczeństwa. Trudno to wszystko zebrać w tak krótkim opowiadaniu, by jasno przedstawić go Czytelnikom, zwłaszcza młodym, którzy powinni poznać tę sylwetkę i naśladować ją w swoim życiu. Spójrzmy więc, na wybrany odcinek jego życia kiedy szczególnie aktywnie działał na terenie Tymbarku. Aby to lepiej zrozumieć poznajmy, chociaż w dużym skrócie, jego biografię.

Rys biograficzny dzieciństwa i młodości inż. Marka

Inż. Józef Marek urodził się 17 marca 1900 roku w Budzowie, nieopodal Kalwarii, w bardzo biednej rodzinie. Jego ojciec był gajowym w lasach należących do arcyksięcia Reinera. Zmarł bardzo wcześnie, mając zaledwie 33 lata. Bezpośrednią przyczyną jego śmierci było zapalenie płuc. Pośrednią natomiast – przepracowanie i niedożywienie skutkiem wielkiej biedy, jaka wówczas panowała w tych okolicach. Pozostawił żonę wraz z trójką dzieci – Ludwikiem, Józefem i Karolem. Z powodu braku środków do życia w Budzowie, matka z dziećmi przeniosła się do rodzinnej wsi Skawinki – wioski leżącej między Kalwarią Zebrzydowską a Lanckoroną. Tam zamieszkali w zniszczonej chacie, mając do uprawy zaledwie dwie morgi ziemi, z uprawy której musieli się wyżywić. Przeżywali tu wielką biedę, jednakże Pani Marek była kobietą z uporem i samozaparciem. Godnie wychowywała swoje dzieci, wpajając im w serca wiarę, uczciwość i patriotyzm, które u Józefa pozostały do końca życia.

Szkołę podstawową ukończył Marek w Lanckoronie, odległej od Skawinek o 4 km. Kierownikiem tej szkoły był Pan Józef Lorenz – z zamiłowania sadownik i pszczelarz, który niewątpliwie zaszczerpił w sercu młodego Józia zamiłowanie do tych dziedzin życia, gdyż ten później obrał sobie zawód sadownika. Po 4 latach pilnej nauki w Lanckoronie Józef zaczął uczęszczać do gimnazjum w Wadowicach. Na okres nauki zamieszkał w wiosce Klecza, u swojego wuja Pękali, skąd do Wadowic – 6 km – dojeżdżał pociągiem. Warunki życia u wuja nie były lekkie, jednakże Józef znosił je cierpliwie, zwracając główną uwagę na naukę.



Poświadczenie służby wojskowej w Legionach Polskich



Fotografia z czasów studenckich



Odnaka pamiątkowa z pobytu w obozie dla internowanych na Węgrzech

W 1916 roku Józef, już jako uczeń 7 klasy gimnazjalnej – przerywa naukę, tuż przed końcem roku szkolnego, by zaciągnąć się do Legionów. Służył w II Brygadzie, w 2. Pułku Artylerii. Po rozwiązaniu Legionów został internowany i wywieziony do Marmarosz Sziget na Węgrzech, a następnie wcielony do armii austriackiej. Po upadku Austrii wrócił do rodzinnego domu, by, po krótkim wypoczynku, znów brać udział w walkach o Lwów, w oddziałach armii Hallera. Po rozwiązaniu tej armii wrócił w rodzinne strony, by kontynuować dalszą naukę. Egzamin maturalny zdał w 1920 roku i rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, na Wydziale Rolnictwa i Ogrodnictwa. Studia te ukończył w 1926 roku, a następnie rozpoczął pracę zawodową jako instruktor sadownictwa w powiecie limanowskim. I tak wreszcie stanął na własnych nogach – chociaż nie od razu. W każdym razie dotychczasowe jego przeżycia były naprawdę trudne.

Jednak dzięki matce, której – jak niejednokrotnie wspominał – przeżył wszystko i stał się samodzielnym człowiekiem. To ona była dla niego wzorem samozaparcia i działania dla dobra innych.

Dzięki pracy przede wszystkim matki. Jednej z tych rzadkich kobiet-matek, które ofiarną miłość dla dzieci łączą z jakimś szerokim widzeniem świata, w którym ofiarna miłość jest koniecznym elementem istnienia, bez niej bowiem nie byłoby ani tej podstawowej komórki społecznej, jaką jest rodzina, ani narodu, ani ludzkości – jak pisze Józef Macko w swej książce Góry zakwitną sadami, poświęconej autobiografii Józefa Marka.



Poświadczenie służby wojskowej i walki pod Lwowem w armii Hallera

Legitymacja z okresu pobytu w niewoli na Węgrzech

Indeks studencki

inż. Józef Marek jako fachowiec od sadownictwa

Jak już wspomniałem w 1926 roku Józef Marek ukończył studia wyższe z tytułem inżyniera ogrodnictwa, specjalizującego się w sadownictwie. Nie podjął jeszcze decyzji co i gdzie będzie robił, jako wykształcony fachowiec. Kręcił się po Krakowie, nie zrywając kontaktu z uczelnią, kiedy do Krakowa przyjechał Antoni Górszczyk – kierownik Szkoły Podstawowej w Pisarzowej, a jednocześnie członek Rady Powiatowej w Limanowej. Jako przedstawiciel tejże Rady Powiatowej został wydelegowany do Krakowa, by na Uniwersytecie Jagiellońskim przeprowadzić wywiad odnośnie możliwości zatrudnienia odpowiedniego absolwenta tejże uczelni – z Wydziału Rolnictwa i Ogrodnictwa, na stanowisko powiatowego instruktora sadownictwa w Limanowej. Rada Powiatowa bowiem, na jednych ze swych obrad, doszła do wniosku, że należy zatrudnić jakąś odpowiedzialną i dobrze do tego przygotowaną osobę na stanowisko instruktora sadownictwa, gdyż w tej dziedzinie widzą możliwość rozwoju tutejszych wsi, które w tym czasie były bardzo zaniedbane i biedne. Uznano więc, że przez rozwój sadownictwa można będzie poprawić byt mieszkańców limanowszczyzny, a przez to poprawić wizerunek powiatu. Należało więc tylko wyszukać odpowiedniego fachowca, który pokieruje pracami na tym odcinku.

Antoni Górszczyk był najlepiej zorientowany, gdzie można zasięgnąć odpowiedniej informacji, dlatego też proszono go, aby podjął się tej misji. No i pan Górszczyk udał się do Krakowa, na Uniwersytet Jagielloński, gdzie w dziekanacie Wydziału Rolnego przyjął go profesor Brzeziński. Pan Górszczyk przedstawił mu prośbę Rady Powiatowej, prosząc o pomoc w wyszukaniu odpowiedniego absolwenta tej specjalizacji. Profesor spokojnie wysłuchał jego prośby, a następnie z lekkim uśmieszkiem na ustach odpowiedział: *Jest tu taki rzetelny, młody inżynier, który jada, jak ma co jeść, śpi jak ma czas spać, a zawsze coś robi. Nazywa się Marek. Gdyby chciał iść, mielibyście z niego wielką pociechę. Dużo mógłby zrobić.* Wkrótce nastąpiło spotkanie Antoniego Górszczyka z Józefem Markiem, który po stosunkowo krótkiej, lecz konkretnej rozmowie propozycję przyjął.

Jest rok 1927. Inżynier Józef Marek rozpoczyna swą pracę jako instruktor sadownictwa, od dokładnego zapoznania się z terenem. W tym celu wędruje po wszystkich pięknych, ale jakże biednych i zaniedbanych wioskach powiatu limanowskiego. Znał wprawdzie życie wiejskie i jego ubóstwo, gdyż sam pochodził z ubogiej chłopskiej rodziny, lecz takiej biedy nigdy jeszcze nie widział. Rzeczywistość – jak sam opowiadał – po prostu przestraszyła go i załamała. Postanowił więc przenieść się do innego powiatu.

Na szczęście wcześniej zapoznał się z inż. Janem Drożdżem – Dyrektorem Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej i ze znanym pisarzem Władysławem Orkanem, którego poznał w Porębie Wielkiej, a z którymi szybko zaprzyjaźnił się,

o czym często wspominał. *To oni skłonili mnie, bym pozostał w Limanowej.* Podkreślił to również i w swym przemówieniu, na uroczystości rozpoczęcia nauki w nowej, przez niego właśnie wymarzonej i utworzonej szkole, o nazwie Spółdzielcze Liceum Przetwórstwa i Handlu Ogrodniczego w Tymbarku (1.10.1948 r.): *Za czasów młodości siadali my często z Orkanem na przyzbie i godali o bydzie chłopów podhalańskich, o ich nyndzy gospodarczej i ubogiej kulturze. Marzyli my wtedy o poprawie ich doli, o podniesieniu oświaty, o zakładaniu sadów, fabryk, szkół... – inż. Marek mówił gwarą tutejszego środowiska. Gwarę, którą tutaj poznał, bardzo polubił i stosował ją jako język „codzienny”. Potrafił jednakże także pięknie mówić językiem literackim, kiedy zaszła taka konieczność. W 1928 roku Dyrektor Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej, inż. Drożdż zaproponował Markowi etat nauczyciela ogrodnictwa w tejże szkole.*

Marek propozycje tą przyjmuje, nie rezygnując jednak ze stanowiska instruktora sadownictwa. Pełnienie tych dwóch funkcji daje mu bowiem możliwość szybszego realizowania swych planów poprawy doli podhalańskiego chłopca. W szkole uczy młodzież i zachęca do zakładania własnych maleńkich szkółek drzew



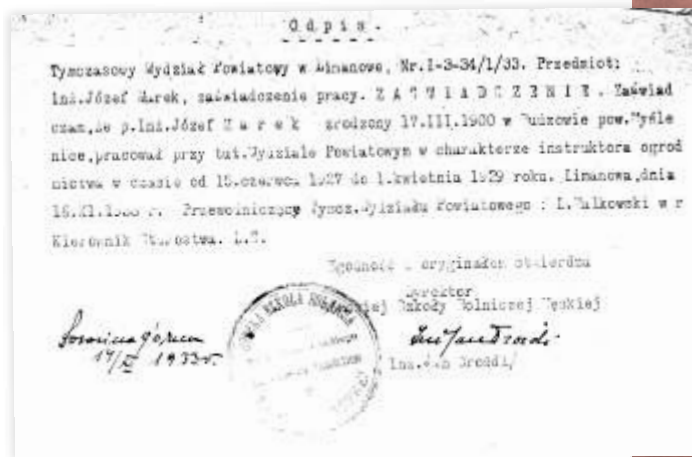
Fotografia ślubna Józefa Marka z żoną Heleną Kramer



Fotografia rodzinna Józef Marek z rodzicami i siostrami żony



Józef Marek z żoną, córką oraz opiekunką



dr Józef Macko



Dom rodzinny w Budzowie



Pracownicy szkółki drzew owocowych



Budynek Owocarni



Szkółka drzewek owocowych

owocowych, aby później młode drzewka sadzić na gruntach własnych i sąsiadów. To wszystko co mówił było bardzo ciekawe i zachęcające. Najlepiej jednak uczy przykład własny. I to właśnie inż. Marek zaczął realizować.

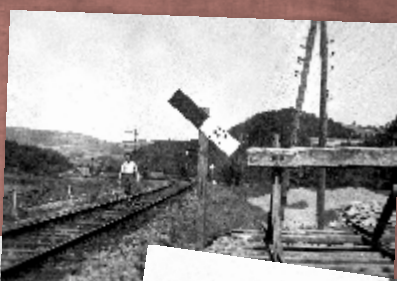
W 1929 roku sprowadził się do Łososiny, aby być bliżej szkoły rolniczej. Tu właśnie, w Łososinie poznał pannę Helenę Kramer ze Szczyrzyca, z którą zawarł związek małżeński. Żona wniosła, w ramach posagu, kilka hektarów uprawnej roli, na której wkrótce założył pokazową szkółkę drzewek owocowych, by przekształcić je we wzorcowy sad, który będzie zachęcał innych do zakładania takich na swoich gruntach, co mu się bardzo udało i stanowiło przykład intensyfikacji gospodarki rolnej w górach. „Sława” jego szkółki i sadu szybko rozeszła się nie tylko po powiecie limanowskim, ale znacznie dalej. Dotarła nawet do SGGW w Warszawie, którą zainteresowali się tamtejsi profesorowie – sadownicy, zwłaszcza profesor Goriaczkowski, który kilkakrotnie złożył Markowi wizytę na Kisielówce.

Podobną szkółkę założył Marek w Łososinie, na gruncie Górskiej Szkoły Rolniczej, która stała się podstawą niemal samodzielnej placówki techniczno-naukowej tamtejszej szkoły. Tak więc uczył Marek młodzież w szkole, zaś w terenie instruował starszych, jak należy drzewka pielęgnować, aby wydały odpowiednie plony. Wprawdzie jego praca nie od razu przyniosła pozytywne wyniki. Starzy gazdowie bowiem nieufnie patrzyli na młodego inżyniera, który nagle wprowadza tyle zmian w ich tradycyjnym systemie gospodarowania. Powoli jednak przekonali się, że Marek ma rację. Zaznaczyć tu również należy, że w realizacji tych zadań, w dużej mierze pomagał mu Dyrektor Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej, który również był wielkim entuzjastą i działaczem na niwie krzewienia oświaty i kultury wśród miejscowej ludności.

Powstanie Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej

Po kilku latach młode sady zaczęły wydawać obfite plony pięknych owoców. Jednakże uzyskanie ich to dla sadownika jeszcze nie wszystko. O korzyściach można mówić dopiero wtedy, kiedy owoce sprzeda się po odpowiedniej cenie. Powstaje więc nowy problem – problem obrotu płodami owocowymi. Dotychczas sprzedaż owoców odbywała się przeważnie „na pniu”, co w rzeczywistości przynosiło sadownikom więcej strat niż zysku. Kupującymi bowiem byli najczęściej Żydzi, a ci nie dbali o drzewa, a jedynie o owoce, które zbierali szybko, często z gałązkami, łamiąc je i zdzierając korę, uszkadzając drzewa i dewastując w ten sposób sady. Bolał nad tym Marek i wiele dyskutował na ten temat z gospodarzami, aż wreszcie doszedł do wniosku, że najlepiej będzie jeśli obrót owocami zorganizuje się na zasadzie spółdzielczości: powstaną grupy chłopów-sadowników, które przy stosunkowo niewielkich udziałach, zorganizują i uruchomią wspólny ośrodek handlowy. Aby myśl tą wprowadzić w życie, Marek sprowokował powiatowe zebranie chłopów – sadowników, z udziałem władz powiatowych, na którym jako powiatowy instruktor sadownictwa, przedstawił swoje dotychczasowe prace i obserwacje oraz przedstawił koncepcję programu gospodarki sadowniczej powiatu limanowskiego, opartej na zasadach spółdzielczości. Zebranie to odbyło się w końcu sierpnia 1934 roku w sali „Sokoła” w Limanowej. Propozycje inż. Marka mocno poparł Dyrektor Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej, inż. Drożdż, deklarując jednocześnie swą pomoc.

Po ożywionej dyskusji podjęto jednomyślną uchwałę popierającą przedstawiony przez inż. Marka program. Od programu do realizacji jest jednak daleka droga i to najeżona różnymi trudnościami, które spadły przede wszystkim na pomysłodawcę. Poza załatwianiem wszelkich spraw prawno-organizacyjnych, najpilniejszą była budowa przechowalni owoców. Na szczęście kilka osób, mających znaczenie w powiecie, zadeklarowało swą pomoc. Zaliczyć do nich należy przede wszystkim: inż. Drożdża z Łososiny, znanych powiatowych działaczy społecznych w osobach: Marsa, Beka, Górszczyka, a także szereg chłopów – sadowników, jak np. Jana Macko, Franciszka Bubulę, Jana Świnkę, Wincentego Jeża, Wojciecha Drożdża, Franciszka Wąsowicza i wielu innych. Duże znaczenie i pomoc uzyskano także dzięki włączeniu się w tę akcję Zarządu Spółdzielni Mleczarskiej w Tymbarku, Zofii Turskiej – właścicielki dworu w Tymbarku oraz proboszcza parafii tymbarskiej ks. Józefa Szewczyka. Jako miejsce zlokalizowania spółdzielni inż. Marek obrał Tymbark z kilku powodów, a przede wszystkim dlatego, że w tym czasie Tymbark stanowił już aktywny ośrodek ruchu spółdzielczego. Działały w nim: Spółdzielcza Kasa Stefczyka, Kółko Rolnicze oraz Spółdzielnia Mleczarska – które oferowały swoją pomoc w zorganizowaniu nowej spółdzielni.



Grupa naukowców SGGW na terenie Owocarni

Bardzo duże znaczenie miała także istniejąca tu stacja kolejowa, dzięki której ułatwiony był transport owoców. Na tymczasową przechowalnię Spółdzielnia Mleczarska odstąpiła bezpłatnie część swoich piwnic, gdzie przeprowadzano próby związane z przechowywaniem owoców. Tak więc Spółdzielnia zaczęła już działać, mimo iż formalnie jeszcze nie powstała.

Sąd odrzucił bowiem dwukrotnie proponowany statut i dopiero trzecia wersja została zarejestrowana przez sąd w Nowym Sączu. Tak więc z datą 24 marca 1937 roku nowa spółdzielnia w Tymbarku otrzymała oficjalną nazwę *Podhalańska Spółdzielnia Owocarska w Tymbarku* oraz zezwolenie na działalność. Nie był to jednak koniec pracy, zabiegów i zmartwień inż. Marka. Spółdzielnia ta nie mogła bowiem ograniczać swej działalności jedynie do przechowywania i handlu owocami odpowiadającymi normom handlowym. Dążono także do wykorzystania owoców niekwalifikujących się do handlu, a więc źle wykształconych, częściowo zepsutych w czasie przechowywania, czy pozostałych z braku kupców, a już przejrzywających. Postanowiono więc przerabiać je na przetwory takie jak: wina, soki, marmoladę, dżemy. I znów kłopoty związane z brakiem znajomości odpowiednich technologii, maszyn i urządzeń do produkcji, no i przede wszystkim wykwalifikowanych fachowców. Na szczęście inż. Marek nie został osamotniony w swej działalności. Również z dużym zapałem pomagali mu ludzie, którzy objęli kierownictwo Spółdzielni - dr Józef Macko i mgr Józef Kulpa oraz szereg innych, jednakże ster tej instytucji dzierżyła „trójca trzech Józefów” - jak żartobliwie mówiono: Józef Marek,



Józef Macko i Józef Kulpa, dzięki którym rozwijała się działalność spółdzielcza z zakresu produkcji sadowniczej i przetwórstwa owocowego. Trudno tu opisywać szczegóły tej działalności – wystarczy krótko stwierdzić, że rozwijała się ona bardzo pomyślnie, co cieszyło szczególnie inż. Marka, mimo licznych kłopotów i zmartwień, jakie musiał rozwiązywać każdego dnia.

W tym okresie inż. Marek prawie nie wychodził ze Spółdzielni. Często nocował tu, śpiąc na podłodze, przykrywając się jakąś płachtą lub tylko swą kapotą. Jadał również z załogą. Kiedyś jedna z kucharek podawała pracownikom obiad w blaszanych miskach, a jemu natomiast na talerzu. Marek obruszył się i nie przyjął talerza, lecz powiedział: *My wszyscy jednacy, przynieś dziewczce na misce*. Wykazał w ten sposób, że nie traktował siebie jako kogoś ważniejszego, lecz że jest taki sam, jak każdy inny pracownik, bez względu na to, jaką wykonuje pracę. I tak praca nad tworzeniem nowego zakładu produkcyjnego Spółdzielni posuwała się naprzód. Niestety, wybuch II wojny światowej bardzo opóźnił możliwości jej pełnego rozwoju. Wpłynął natomiast aktywnie na patriotyczne zespolenie społeczeństwa, wyrażające się w działalności ruchu oporu oraz w udzielaniu pomocy dla wielotysięcznej grupy ludzi biednych, wysiedlonych z różnych rejonów kraju i nękanym przez okupanta. I tu rozpoczyna się nowy rozdział działalności tak *Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej*, jak i jej głównego inicjatora i organizatora – inż. Józefa Marka.

Okres okupacji

Na szczęście działania wojenne nie zniszczyły powstających obiektów spółdzielczych i wkrótce, po zakończeniu bezpośrednich walk, rozpoczęto kontynuację zadań Spółdzielni. Oczywiście, Spółdzielnia przeszła pod „opiekę” okupanta, jednakże większość załogi stanowiły te same osoby, które tu pracowały przed wybuchem wojny. Zaś inż. Marek wraz z kierownictwem Spółdzielni postawili przed sobą nowe następujące cele:

- utrzymać produkcję przetwórczą, dzięki której wiele młodych ludzi uniknie wywiezienia na prace przymusowe do Niemiec;
- pomagać byłym oficerom i żołnierzom WP w przedostawaniu się na tereny innych państw, w których tworzone są polskie oddziały oraz osobom cywilnym organizującym ruch oporu na terenach okupowanych;
- pomagać miejscowej biednej ludności i osobom obcym zamieszkałym tu z powodu przesiedlenia oraz więźniom;
- dążyć do dalszego kształcenia młodzieży poprzez organizowanie tajnych kompletów nauczania;
- wykorzystywać każdą okazję do rozbudowy i modernizacji zakładu przetwórczego oraz poszerzenia bazy surowcowej.

W lecie 1940 roku inż. Marek, po rozmowie z „Maciejem” (Janem Cieślakiem), oficerem Związku Walki Zbrojnej, oficjalnie został członkiem tej organizacji, działając pod pseudonimem „Lanca”. Jednocześnie zadeklarował włączenie do akcji ZWZ całej Spółdzielni, a także wielu osób pracujących w szkołkach drzewek owocowych oraz indywidualnych sadowników. Współpraca Spółdzielni z ruchem oporu miała różne formy np. fikcyjne zatrudnianie oficerów WP, naukowców i ludzi kultury, jako zbieraczy runa leśnego, czy też zatrudnianie w przetwórni ludzi, którym groziła wywózka do Niemiec, wyszukiwanie mieszkań zastępczych dla ludzi „spalonych”, którym groziło aresztowanie, niesienie pomocy rodzinom wysiedlonym i aresztowanych, których los rzucił w te strony, a także miejscowym biednym rodzinom, wysyłanie paczek żywnościowych i z odzieżą do obozów koncentracyjnych i więzień, (w ramach RGO), kolportowanie prasy podziemnej czy przekazywanie wiadomości radiowych.

Ponadto udzielano pomocy w organizowaniu tajnego nauczania na terenie całego powiatu, a także i poza jego granicami, jeśli zaszła taka potrzeba. Omawiając działalność Spółdzielni w tym zakresie, należy tu podkreślić również wielkie zaangażowanie się inż. Marka, który został wybrany na delegata Polskiego Rządu Londyńskiego i także szczególną działalność mgr Jana Sobczyka – głównego księgowego Spółdzielni, który zginął w obozie w Oświęcimiu. W jego mieszkaniu odbywały się zebrania zaprzysiężonych. Jako główny księgowy ukrywał przed władzami okupacyjnymi faktyczny majątek Spółdzielni, prowadząc podwójną księgowość. Dzięki temu można było udzielać pomocy materialnej tak partyzantom,

jak i ludności cywilnej. Jako oficer kulturalno-oświatowy pomagał i współdziałał w zakresie tworzenia tajnego nauczania – nie tylko w Tymbarku, ale także daleko i poza nim (np. w Ujanowicach, Szczyrzycu, Skrzydlnej, Nowym i Starym Sączu, Nowym Targu).

W ramach działalności ZWZ ze Spółdzielnią ściśle współpracował dwór, którego właścicielką była Zofia Turska. Miała ona bezpośredni kontakt nie tylko z Markiem, lecz również i innymi osobami z kierownictwa Spółdzielni. Tę współpracę najlepiej przedstawia chyba J. Bieniek, w swym artykule zamieszczonym w „Roczniku Sądeckim” (t.12 z 1971 r.) pisząc: *poza setkami bezimiennych zaopatrzeniowców limanowskiej wsi, wymienić należy szczególnie ofiarnych ziemian tutejszych, a więc dwory i dworki Żuk-Skarszewskich z Przyszowej, Romerów z Jodłownika – Lipia i Turskiej z Tymbarku oraz Tymbarską Spółdzielnię Owocarską, a właściwie jej kierownika technicznego inż. Józefa Marka „Lanca”*. Żuk-Skarszewscy zaopatrywali głównie oddziały partyzanckie, Romerowie Sztab Obwodu i II batalion, Turska z Markiem – Sztab Inspektoratu i dowództwo IPSK – AK, a poza tym każdego, kto się pod rękę nawinął.

Nie zapomniano też o oświacie i kulturze. I tu wykorzystywano każdą okazję, by przypomnieć prawdziwą polską kulturę. Przykładem tego mogą być kilkakrotnie „odwiedziny” znanego artysty teatralnego Juliusza Osterwy, o czym pisze W. Szkaradkówna-Lubasiowa, w swym artykule *Szlakiem wspomnień*, zamieszczonym w tygodniku „Kierunki” (nr 20 z 17.05.1987 r.).

Oto krótki fragment tego artykułu: (...) *Potem dołączył do nas inż. Józef Marek, który w latach trzydziestych założył w Tymbarku chłopską spółdzielnię owocarską, nauczył sadzić i pielegnować rozległe sady i wybudował fabryczkę do przetwarzania wyhodowanych owoców. W czasie okupacji zaś z tejez marmoladziarni zrobił ognisko sprawy podziemnej*



Msza św. na Mogielicy



Jan Sobczyk



Partyzanci na topieniu



Przed tablicą pamiątkową inż. Marka na ścianie budynku administracyjnego Owocarni



Pracownicy naukowcy SGGW na tarasie budynku Owocarni



Inż. Marek z prof. Goriaczkowskim



Inż. Marek z głównym winiarzem Owocarni K. Czerwińskim

(...). Wówczas na obiedzie u pani Turskiej, Juliusz Osterwa i Józef Marek, chłopski działacz, debatowali nad kształtem przyszłego państwa polskiego.(...) W porze podwieczornej przyjechali do dworku nowi goście: Romerowie z Jodłownika z Łucją, która pisała wiersze, i z klasztoru cystersów w Szczyrzycu ojciec Stanisław, znawca i miłośnik literatury.(...) Nigdy już „Wyzwolenie” nie zrobiło na mnie takiego wrażenia jak wówczas. Osterwa zachwycał i wzruszał. O , jakże on odczuwał ten toczący się w duszy Konrada spór, zwłaszcza kiedy podkreślał „Ja jestem wolny!” – my też czuliśmy się wolni i pełni siły, mimo okupacyjnego terroru.”

Duży wpływ na rozwój kultury środowiska miał również dwór przez utrzymywanie tradycji narodowych – co szczególnie ważne było w okresie okupacji. Wykorzystywano w tym celu takie okazje jak imieniny kogoś z dworu oraz dożynki, gaiki, sobótki, jasełka itp. Organizowane były wtedy specjalne imprezy, w czasie których występowała „grupa aktorska” złożona z dzieci i młodzieży, a także i starszych, wykonując przygotowany uprzednio odpowiedni repertuar, do którego wplatano motywy patriotyczne, co podnosiło na duchu widzów i słuchaczy. Opracowaniem ich zajmowały się przeważnie miejscowe nauczycielki, w czym celowała znana tu i ceniona Bronisława Szewczykówna (ciocia inż. Marka).

We dworze ukrywali się również ludzie oświaty, nauki i kultury, których przygarniał Marek i wspólnie z Turską „zatrudniali ich” jako guwernerów, ogrodników, gajowych itp. „fachowców”. Między innymi „pracowali” tu: prof. SGGW W. Goriaczkowski – sadownik, prof. M. Chroboczek – warzywnik, prof. A. Mehring – specjalista od przetwórstwa owocowo-warzywnego, czy Feliks Kuczkowski, o którym wspomina Zofia Nałkowska w swej książce *Dzienniki czasu wojny* (Czytelnik, W-wa, 1972, str. 433). Píše tam: *Okupację spędził początkowo w Milanówku, a w latach 1942–1945 – jako*

guwernator we dworze w Tymbarku pod Limanową, polecony przez geografa Tadeusza Radlińskiego.

W ramach „podziemnej pracy Spółdzielni” współpracowano nie tylko z pojedynczymi osobami, lecz wręcz z całymi zespołami czy instytucjami, jak np. z Urzędem Gminnym, który wydawał fałszywe dokumenty osobom „spalonym” czy zmniejszał limity kontyngentów rolnych, z Urzędem Pocztowym, z zespołem kolejarzy stacji PKP itp. Dla przykładu – naczelniczka poczty – Helena Lorek, udostępniała wtajemniczonym kontrolę przesyłek do Gestapo, przy posterunku żandarmerii, prowadzono podsłuch rozmów telefonicznych itp. Kolejarze przewozili żywność przeznaczoną dla partyzantów i ludności borykającej się z jej brakiem. Ponadto informowali dowództwo oddziałów partyzanckich o kolejowych transportach wojskowych czy większych transportach broni. To tylko luźne przykłady tej współpracy, której podanie w całości jest niemożliwością. Oczywiście nie obyło się bez różnych szykan ze strony okupanta, aresztowań, umieszczania w więzieniach, czy też skazywania na kary w obozach koncentracyjnych, gdzie ginęli, jak np. w/w główny księgowy, mgr Jan Sobczyk czy Ludwik Myszkowski – brat Zofii Turskiej. Mimo to inni nadal pracowali podobnie, nie zrażając się tym, co im mogło grozić.

Również inż. Markowi, który od początku okupacji był szczególnie inwigilowany przez władze okupacyjne i groziło aresztowanie, którego kilkakrotnie udało mu się uniknąć. Pewnego dnia na teren Spółdzielni zjechał samochód z kilkoma gestapowcami. Inż. Marek akurat pomagał przy budowie i był ubrany w stare dziurawe spodnie i równie podobnie podartą koszulę. Kiedy jeden z gestapowców podszedł właśnie do niego i spytał, gdzie może być inż. Marek, ten spokojnie odpowiedział, że *chyba z panami w biurze* – i wskazał ręką kierunek do biur. Kiedy gestapowcy ruszyli w kierunku wejścia inżynier natychmiast „zginął” w pobliskich krzakach. Cudownie został ocalony – jak później wspominał. Tym razem udało się, jednakże w nocy z 2 na 3 lipca 1944 roku Gestapo wraz z żołnierzami formacji SS przeprowadziło w Tymbarku i okolicy masowe aresztowania. Na liście osób zatrzymanych znajdowało się około 100 nazwisk, z których udało im się aresztować tylko 37. Wśród nich znajdował się także inż. Marek, który od chwili aresztowania zamilkł zupełnie. Dopiero kiedy samochód z aresztowanymi przejeżdżał przez Kaninę powiedział: *Popatrzmy ostatni raz na te młode sady, bo to nasza wspólna, nieukończona jeszcze praca.*

W Nowym Sączu dowieziono ich do aresztu w budynku Gestapo, gdzie odbywały się codziennie przesłuchania. Właściwie wszyscy mieli być natychmiast rozstrzelani, jednakże egzekucje wstrzymano dzięki interwencji Rady Głównej Opiekuńczej oraz innych osób mających wpływ na niektórych funkcjonariuszy SS.

Odnośnie Rady Głównej Opiekuńczej zaznaczyć należy, że inż. Marek rozmyślnie podpisał z nią umowę, zgodnie z którą cała produkcja zakładu przetwórczego dostarczana miała być do magazynów i składnic terenowych RGO, dzięki czemu stworzył duże możliwości aprowizacyjno-transportowe i legalizacyjne dla ludzi biednych i ruchu oporu.

Dokładny przebieg wydarzeń związanych z aresztowaniem pracowników Spółdzielni i możliwości zwolnienia większości tych osób opisuje dr Józef Macko w swej książce pt. *Góry zakwitną sadami*. Tutaj brak miejsca na dokładny opis, jednakże dla lepszego zrozumienia należy wyjaśnić, że po zwolnieniu dra Józefa Macko, który również był aresztowany w tej łapance i jako pierwszy zwolniony, ten natychmiast rozpoczął działania mające na celu uwolnienie inż. Marka. By uzyskać przychyłność zastępcy komisarza Gestapo z Nowego Sącza (który z wykształcenia był dyplomowanym artystą – skrzypkiem), a który miał duży wpływ na komisarza, wręczył mu własne, bardzo wartościowe skrzypce włoskie z 1721 roku – wiedząc, że ten nie odmówi ich przyjęcia.

Dzięki temu prezentowi udało się uzyskać zwolnienie nie tylko dla inż. Marka, ale również dla większości aresztowanych wraz z nim innych pracowników Owocarni. Niestety, nie udało się zwolnić wszystkich. W dniu 17 lipca 1944 roku zostali oni w Słopicach – na obrzeżu starego cmentarza przy drodze do Zaświercza – rozstrzelani wraz z innymi więźniami przywiezionymi z więzienia Montelupich z Krakowa oraz z Nowego Sącza.

W sumie rozstrzelano 32 zakładników, a wśród nich z Tymbarku zginęli: Jan Miśkowiec, Jan Palka, Stanisław Sobczak oraz Stanisław Sobczak z Zamieścia. Dzięki ocaleniu części aresztowanych Owocarnia mogła podjąć dalszą produkcję – no i znowu wrócić do walki z okupantem. Wprawdzie było to bardzo trudne, gdyż Krakowska Komenda SS wkrótce przysłała do Tymbarku – osławioną już ze swych zbrodniczych działalności – kompanię SS Matingena, jako karną kompanię. Należy tu przypomnieć, że kompania ta, w latach 1941–1943, krwawo zapisała się w pamięci Lwowa oraz innych miejscowości, gdzie masowo mordowała intelektualistów polskich: księży, literatów, profesorów, lekarzy, aktorów i innych, których trudno tu nawet wymienić.

W Tymbarku na swą kwaterę zajęli główny budynek Owocarni, skąd robili wypady, mordując niewinnych ludzi. Wybranie tego właśnie miejsca miało na celu sprowokowanie jakiegoś zajścia, które dałoby podstawę do całkowitej likwidacji Spółdzielni. Dzięki jednak zrozumieniu sytuacji i odpowiedzialności wszyscy pracownicy starali się, aby „coś takiego” nie nastąpiło. Dzięki takiej postawie pracowników Owocarnia została uratowana. Nie obyło się jednak bez poważnych strat, jakie w terenie spowodowała kompania Matingena. Przykładem tego jest Porąbka i Gruszowiec, gdzie wymordowano większość mieszkańców, a osiedla te zostały spalone. Wobec takiej sytuacji działalność podziemna aktywu Spółdzielni musiała niestety osłabnąć.

Inż. Marek musiał zrezygnować z funkcji Delegata Rządu Londyńskiego na powiat limanowski, by czas poświęcić sprawom Spółdzielni zwłaszcza, że zarządzeniem władz dystryktu z dnia 10 listopada 1944 roku, działalność Owocarni została zamknięta, a majątek miał ulec konfiskacie i zniszczeniu. Już w październiku 1944 roku dotarła poufna wiadomość, że w związku z cofającym się frontem, tak Owocarnia, jak i cały Tymbark zostaną spacyfikowane. Wcześniej jednak jej majątek zostanie wywieziony do Niemiec. Dzięki tym wiadomościom zastosowano

odpowiednie zabiegi i do tego nie doszło. Wprawdzie trzy dni wcześniej, przed wkroczeniem wojsk wyzwolenczych, rozpoczęto przygotowania do tej akcji, jednakże dzięki współpracy naszych partyzantów z radzieckimi, którzy również działali w tych okolicach, udało się temu zapobiec. Nad Tymbarkiem pojawiły się samoloty radzieckie, które zrzucały lekkie bomby. Niemcy jednak, pragnąc kontynuować zaplanowaną akcję zniszczenia Tymbarku – w tym i Owocarni – wysadzili most kolejowy na rzece Łososina, oddalony zaledwie około 200 m od Spółdzielni. Zniszczono również budynek stacji PKP, a Owocarni miano wysadzić następnego dnia. Materiały do wysadzenia były już na terenie Spółdzielni, a także trzech saperów, którzy mieli dokonać aktu zniszczenia. Wobec takiego faktu działacze Spółdzielni z dowództwem partyzantów uzgodnili pewne działania i postanowiono działać na zwłokę. Saperom oświadczono, że właśnie przed ich przybyciem była tu specjalna komisja Wehrmachtu, która wyraziła zgodę, by budynek Spółdzielni nie wysadzać. Skoro decyzja ta jeszcze nie dotarła do jednostki saperów to można przecież jej „prawdziwość” potwierdzić w komendzie Wehrmachtu. Jednocześnie przygotowano dla saperów specjalną libację, skutkiem której umysł ich zostały poważnie zamroczone. Postanowili więc wysadzenie zakładu odłożyć do następnego dnia. Niezależnie od tych zabiegów oddział partyzancki por. Wietrznego czuwał w pobliżu gotów do błyskawicznej interwencji, gdyby saperzy chcieli jednak dokonać wysadzenia budynku. Kiedy więc saperzy byli już mocno na rauszu, wszczęto fałszywy alarm, krzycząc, że do Tymbarku wkroczył duży oddział radzieckich partyzantów z odsieczą i strzelają do Niemców na tymbarskim rynku. Wystraszeni saperzy zdążyli biegiem wsiąść do drezyny kolejowej i odjechali w kierunku Chabówki. Na miejscu pozostawili swój sprzęt i około 2 ton dynamitu. Dzięki takim zabiegom udało się uchronić od zniszczenia budynku Spółdzielni. Tak więc inż. Marek odetchnął nieco, podobnie jak i inni pracownicy Spółdzielni.

Spokoju tego nie doznali jeszcze mieszkańcy Tymbarku, a to z powodu kwaterowania tu oddziału esesmanów, których zadaniem było wymordowanie mieszkańców oraz spalenie wszystkich domów – o czym mieszkańcy nie wiedzieli. Na szczęście wkrótce do Tymbarku wkroczył rzeczywiście oddział wojska radzieckiego, przed którym szybko uciekali pozostali esesmani. Po lekkim uspokojeniu się atmosfery, dowódca oddziału radzieckiego zwołał spotkanie miejscowej ludności na terenie placu tartaczego. Tu polecił tłumaczowi odczytać pismo, jakie znaleziono w kieszeni poległego oficera SS.

Jak się okazało, zawierało ono rozkaz spalenia i zniszczenia całego Tymbarku oraz wymordowania jego mieszkańców. Teraz dopiero zrozumiano, jaka czekała ich tragedia i to u progu wolności.

Pierwszy okres po wyzwoleniu

Wreszcie Tymbark wolny od okupanta niemieckiego. Powstało pytanie, co dalej? Jest „wolność” i wypada kontynuować przerwana działalność, jaką sobie wytyczono na początku 1939 roku. Kontynuować – ale jak – skoro majątek Spółdzielni aktualnie nie wynosił więcej niż 10 procent wartości przedwojennej. Pamiętać należy, że w listopadzie Spółdzielnia została formalnie zlikwidowana przez Dystrykt, zaś świeżo mianowany komisarz Poufahl grasował po magazynach i zabierał najcenniejsze urządzenia. Tak np. została rozebrana i wywieziona duża maszyna parowa wartości 120 tysięcy złotych. Również ludność okoliczna zabierała towary znajdujące się w magazynach, traktując je jako pozostałość poniemiecką. Trudno wymieniać wszystkie utracone towary i urządzenia, jakie zostały zniszczone lub zabrane. Wystarczy stwierdzić, że straty wyniosły około miliona złotych majątku zakładowego, wg obliczeń dra Józefa Macko. Zwołano więc ogólną naradę członków Spółdzielni, by omówić aktualną sytuację oraz podjąć odpowiednie uchwały dotyczące przyszłości Spółdzielni. W swym przemówieniu inż. Marek powiedział: *Musimy radować się wszyscy, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknęliśmy męczeńskiej śmierci i że Spółdzielnia oraz jej dorobek zostały uratowane dzięki aktywnej i pełnej poświęcenia postawie jej pracowników. Nie tracąc czasu musimy co rychlej wznowić intensywną pracę i wysiłki na wszystkich odcinkach działalności Spółdzielni, włączyć się aktywnie do odbudowy gospodarczej wyzwolonego kraju i kontynuować dalszą realizację ustalonego przed kilku laty planu.* Powoli więc Spółdzielnia zaczęła odżywać. Przystąpiono do napraw i remontu uszkodzonych pomieszczeń i urządzeń, starając się, aby jak najszybciej uruchomić produkcję. Nie było to jednak łatwe, bo przeszkody piętrzyły się.

Przed wszystkim brak transportu. Spółdzielnia nie miała własnego, a linia kolejowa jeszcze nie działała. Dogadano się jednak z dowództwem oddziałów radzieckich, stacjonujących w Tymbarku, z majorem Moisejewem na czele i za wzajemne świadczenia korzystano z ich aut wraz z konwojentami. Inną wielką trudność powodował brak odpowiednich pracowników, bowiem wielu dotychczasowych opuszczało Tymbark, wracając do swych poprzednich miejsc i stanowisk pracy, zaś wielu z dawniejszych pracowników nie wróciło jeszcze z wojennej tułaczki. Trzeba więc było tworzyć nową kadrę. I tak np. nad rozbudową zakładów produkcyjnych opiekę sprawował prof. inż. Wacław Krzyżanowski. Produkcją przetwórczą zajął się inż. Augustyn Rogoziński, zaś inż. Marek wrócił do „swoich” szkółek drzew owocowych. Rozpoczął się więc nowy rozdział w życiu Spółdzielni – jej odbudowa – powrót do normalności. Dzięki wysiłkom całej załogi, już w dniu 10 lutego 1945 roku zgłoszono, że urządzenia gotowe są do wznowienia produkcji.

Przedstawiono Zarządowi plan finansowy w wysokości 10 milionów na zakończenie kampanii 1944/45 roku oraz na wykonanie nowej, co bardzo ucieszyło inż. Marka. Wprawdzie plan ten nie był łatwy do realizacji, tak z powodu pustej kasy

jak i strat wojennych, które pogłębiały kryzys finansowy Spółdzielni. Marek jednak nie tracił nadziei, że wszystkie te trudności zostaną wkrótce pokonane. Podejmuje więc w Ministerstwie Apropowizacji starania o przydział cukru, zaś w Centralnej Kasie Spółek Rolniczych oraz w Centrali Banku Rolnego prosi o kredyty na sfinansowanie kampanii. Te i podobne zabiegi sprawiły, że z każdym dniem Spółdzielnia nabierała nowych sił do pracy i tętniła coraz szybszym rytmem. Zakłady wznowiły produkcję i nadal rozwijały się.

Inż. Marek, zwany teraz popularnie „Marusiem” rozpoczął wędrówki po całym kraju: do Warszawy, by zatwierdzić takie lub inne potrzebne dokumenty, na Ziemi Odzyskane, by stamtąd przywieźć jakieś urządzenia potrzebne dla zakładu lub do rozbudowy zaplecza ogrodnictwa np. szklarnie, które wykorzystał do uruchomienia ogrodnictwa w Mszanie Dolnej. W Olszanie (pow. sądecki) wydzierżawił 27 ha gruntu w jednym kawałku, który wykorzystał do poszerzenia arealu uprawy szkółek drzewek owocowych. Ściągnął też większą ilość dziczek (młodych drzewek owocowych) z pomieckich szkółek z powiatu oświęcimskiego, jako częściową rekompensatę za skonfiskowane w 1941 roku dziczki Spółdzielni. Często też bywał na „Zachodzie”, gdzie działał we wszystkich możliwych kierunkach i w różnych miejscowościach, których nie sposób tu wymienić. Poza kierunkiem sadowniczym, jako głównym trzonem jego działania, pamiętał także o oświacie, na rozwoju której bardzo mu zależało.

Pomagał w każdy możliwy sposób: fundował stypendia, organizował bursy studenckie, angażował nauczycieli, organizował specjalne kursy dla młodzieży pracującej itp. Jego szczególną zasługą było utworzenie w Tymbarku pierwszej średniej szkoły, o profilu przetwórstwa i handlu ogrodniczego. Na początku swego istnienia była to szkoła finansowana przez Spółdzielnię. Rozpoczęła działalność jako Spółdzielcze Liceum Przetwórstwa i Handlu Ogrodniczego II stopnia.

Budynki zakładowe i szkoły
lata 40. XX w.



Jej pierwszym dyrektorem był Stanisław Szymański – były dyrektor Szkoły Ogrodniczej w Tarnowie. Absolwenci tej szkoły mieli stanowić średnią kadre kierowniczą w zakładach produkcyjnych i instytucjach handlowych z zakresu branży owocowo-warzywnej. Niestety wraz z upaństwowieniem Owocarni, upaństwowiono również i Spółdzielcze Liceum, które również musiało borykać się z wieloma trudnościami. Dopiero po opuszczeniu Tymbarku przez niemieckiego okupanta inż. Marek dał się poznać jako człowiek pełen wszechstronnych inicjatyw, a także jako człowiek całkowicie oddany służbie dla Ojczyzny i dla bliźnich. Nie pragnął on dla siebie ani korzyści, ani sławy. Pragnął tylko, aby Ojczyzna jak najszybciej podniosła się po tylu latach okupacji oraz, by ludzie żyli w niej możliwie szczęśliwie...

Porażka inż. Marka

Nowa rzeczywistość, niestety, nie sprzyjała działalności inż. Marka. Władze partyjne i powiatowe niechętnie patrzyły na jego działania, podobnie jak część ludności tutejszej, zachłyśnięta nowymi teoriami komunistycznymi. Aktywni członkowie Spółdzielni byli pod stałą obserwacją Urzędu Bezpieczeństwa i to z przykrymi skutkami. Za działalność w AK, za zbyt mocne manifestowanie niezadowolenia z nowej rzeczywistości, za tęsknotę za prawdziwą Polską mogli zostać aresztowani. Członka Zarządu, Jana Macko, wywieziono w głąb Rosji na Zakaukazie, gdzie spędził kilka lat jako „katorżnik”. Warto tu wtrącić mały epizodzik z jego pobytu na Zakaukaziu. W czasie pracy poznał tam Stanisława Schneidra, który również był skazany za działania partyzanckie, a który w kilka lat później objął w Tymbarku stanowisko dyrektora zakładów przetwórczych byłej Spółdzielni. Aresztowanie groziło również mgr. Józefowi Kulpie, za podobne „czyny”. Ten jednak został wcześniej ostrzeżony, przez jednego z milicjantów o mającym się odbyć aresztowaniu. Dzięki czemu Józef Kulpa już nie wrócił do domu, do którego właśnie zmierzał, lecz skręcił do lasu i pod jego osłoną przedostał się do innej miejscowości, skąd wyjechał do Krakowa. Inż. Marka nie aresztowano, gdyż bano się chłopskich rozruchów broniących swego dobrodziejstwa. Jednakże przy aktywnej działalności ludzi partyjnych, idee Marka wyśmiano i lekceważono. Z chwilą upaństwowienia Spółdzielni został odsunięty nie tylko z kadry kierowniczej, lecz doprowadzono nawet do tego, że oddano mu udział członka spółdzielcy. Dano mu do zrozumienia, że jest niepotrzebny, a nawet niepożądany.

Upokorzono go jak tylko można było – zwracając mu jego wkład członkowski. Przeżył to bardzo. Wprawdzie starał się nie okazywać tego, jednakże znając nieco jego charakter, łatwo to można było poznać. Jadąc kiedyś wspólnie pociągiem, opowiadał mi o tych sprawach i miał łzy w oczach. Podkreślił swą „kłęskę”, jakiej doznał mówiąc: (...) *Kwordy naród, mówie ci chodok, kwordy* (...) i po policzkach jego spłynęły duże łzy. Tych słów i tego stwierdzenia oraz tych dwu

leż, które powoli spływały po jego policzkach nie zapomnę już do końca mego życia. Tu muszę wyjaśnić, skąd ta znajomość i ta otwartość inż. Marka w stosunku do mnie.

Otóż inż. Marek miał syna Janka, w moim wieku, z którym razem uczęszczaliśmy do wspomnianego wyżej Spółdzielczego Liceum Przetwórstwa i Handlu Ogrodniczego i w związku z tym żyliśmy na stopie koleżeńskej. Kilkakrotnie byłem również w ich domu i stąd znaliśmy się bliżej. Przebywając w jego domu mogłem bliżej poznać tę wspaniałą postać – a tak prostą i bezpośrednią w obcowaniu z drugim człowiekiem. Kiedy byłem w jego domu traktował mnie bardzo serdecznie, niemal po ojcowsku. Dużo wypytywał mnie o Panią Annę Pikulską, z którą współpracował, kiedy ta w czasie okupacji prowadziła Żeńską Szkołę Rolniczą w Koszarach – wiosce koło Łososiny Górnej. Znałem ją, gdyż była moją wychowawczynią i przez półtora roku mieszkałem u niej, w czasie kiedy uczęszczałem do gimnazjum ogrodniczego w Świdnicy, skąd właśnie dzięki niej znalazłem się w Tymbarku. Tak więc mieliśmy punkt zaczepienia do wspólnych rozmów, w trakcie których przedstawiał też swoje wizje przyszłościowe. Miał twardy charakter. Okazało się, że poníženie, jakiego doznał od niektórych członków Spółdzielni nie załamało go całkowicie. Ból, jakiego doznał ukrył w swym sercu, sam natomiast szybko rozpoczął inne prace dla dobra całego społeczeństwa. Wprawdzie doznane przeżycie odbiło się na jego zdrowiu, jednakże szybko zabrał się do wykonywania nowych zadań, jakie sobie wytyczył. Bardzo zależało mu, by poprawić sytuację materialną wielu biednych mieszkańców tego regionu oraz, by młodzież mogła kształcić się, dzięki czemu podniesie się poziom oświaty i kultury w środowisku, jak często powtarzał.

Pragnął też, by idea upaństwowionej Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej nie została zatarta w pamięci mieszkańców Ziemi Limanowskiej. Te trzy punkty, jakie sobie wytyczył – pomimo doznanych krzywd – bardzo chciał teraz realizować.

Inż. Marek rozpoczyna nową działalność

Kiedy inż. Marek został już całkowicie usunięty z byłej Owocarni zaczął tworzyć nowe placówki tak produkcyjne, jak i oświatowe. Najpierw postawił na Mszanę Dolną, gdzie postanowił uprawiać warzywa, przy zaangażowaniu tamtejszej Szkoły Ogrodniczej, której również był inicjatorem i współtwórcą. By zrealizować swe założenia wyjechał do województwa wrocławskiego, gdzie wydobył zniszczone szkielety szklarni i po załatwieniu formalności urzędowych, przetransportował je do Mszany Dolnej i tu zmontowano szklarnie o powierzchni 2500 m².

Następnym punktem jego działalności było utworzenie przystanku PKP w Piekiełku, przez co duża liczba osób pracujących w Tymbarku lub w Limanowej miała ułatwiony dostęp do swych zakładów pracy. Wcześniej bowiem trasy te musieli pokonywać pieszo. Budowa tego przystanku znów sprawiła mu sporo

kłopotów i trudności związanych z uzyskaniem zezwolenia na budowę, zdobyciem odpowiedniej parceli, z brakiem funduszy na koszty związane z budową itd. Problemy te jednak przewyciężył i w listopadzie 1956 roku przystanek PKP w Piekiełku został uroczyście oddany do użytku.

Dzięki tej inwestycji szybko też zmienił się wygląd Piekiełka, z korzyścią dla tamtejszego społeczeństwa, a również dla innych pobliskich miejscowości. Wybudowano wiele nowych domów, utwardzono lub zbudowano nowe drogi, zelektryfikowano pobliskie wioski i do tych pięknych miejscowości zaczęli przyjeżdżać wczasowicze, organizowano obozy harcerskie oraz kolonie letnie w miejscowej szkole. Jeszcze nie skończono budowy stacji PKP, a inż. Marek już tworzył dalsze swe „dzieła”.

W Mszanie Dolnej uruchamia małą winiarnię, w Tymbarku zaś wytwórnię prefabrykatów i materiałów budowlanych. W Porębie Wielkiej zainicjował spółdzielnię letniskowo-uzdrowiskową im. Władysława Orkana, która dała początek dalszej rozbudowie, dzięki czemu Poręba Wielka stała się ośrodkiem letniskowo-turystycznym.

Uznanie krzywdy, jakiej doznał Marek i dalszy ciąg jego działalności

W numerze 19. tygodnika „Świat” – z dnia 15 maja 1955 roku, zamieszczono artykuł znanych publicystów – K. Dziewanowskiego i W. Nowakowskiego pt. Krzywdą inż. Marka. Dziennikarze ci, którzy dowiedzieli się o działalności Marka, jaką od lat prowadził na terenie powiatu limanowskiego, o jego sukcesach i krzywdzie jakiej doznał, postanowili sprawdzić to osobiście. Przyjechali więc do Limanowej i rozpoczęli badanie sprawy usunięcia Marka z życia publicznego od rozmów z przedstawicielami władz powiatowych oraz partyjnych, sprawdzając przyczyny takiej „nagonki”. W czasie tych rozmów twierdzili, że Markowi stała się krzywda, którą należy naprawić, co wielu przekonało.

Artykuł, jaki ukazał się w tygodniku „Świat” poruszył także opinię kół Frontu Jedności Narodu i spowodował, że postanowiono niesprawiedliwość tę naprawić. Marek zaś, kiedy zapoznał się z w/w artykułem spokojnie powiedział: *Nie dbam o siebie i bardziej bym się cieszył, gdyby została naprawiona krzywda, jaką wyrządzono Spółdzielni i całemu powiatowi.* Dzięki więc temu artykułowi zmienił się stosunek władz odnośnie dalszej działalności inż. Marka.

Należy tu podkreślić, że zasadniczą zmianę przyniosły dopiero uchwały VIII Plenum KC PZPR w 1956 roku, które miały duży wpływ na życie całej polskiej społeczności – w tym również i dla inż. Marka.

„Odrodzenie” działalności Marka

By naprawić krzywdy, jakich doznał Marek, władze Frontu Narodowego, w uznaniu jego działalności społecznej i zasług, jakich dokonał dla dobra całego społeczeństwa, zaproponowały mu kandydaturę na posła do Sejmu. Było to dużym zaskoczeniem dla Marka.

Długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Zdawał sobie bowiem dobrze sprawę, jakie obowiązki i jaka odpowiedzialność spocznie na nim. Skłaniał się ku temu, by odmówić propozycji, jednakże wszyscy, a szczególnie spółdzielcy, prosili go, aby mandat przyjął. I to przeważało.

W najbliższych wyborach został wybrany na posła. I tak rozpoczął swoją nową, aktywną działalność społeczną, która niestety okazała się już ostatnią. Jego pierwsze poselskie zadanie, jakie pragnął zrealizować, to reaktywowanie Spółdzielni tymbarskiej. Sprawę tą przedstawił i omówił najpierw w Komisji Rolnej, w której pracował, zaś w dniu 25 kwietnia 1957 roku na plenum Sejmu. Niestety, ponieważ Marek chciał odzyskać wszystkie zakłady i gospodarstwa szkółkarskie, jakie kiedyś podlegały Spółdzielni – po wielu kontrolach i dyskusjach żądania te zostały odrzucone.

Udało się jednak Markowi uratować i utworzyć nową spółdzielnię pod starą nazwą Podhalańska Spółdzielnia Owocarska, która została zlokalizowana w Limanowej, w budynkach po dawnym browarze. Przejęła ona również i gospodarstwo ogrodnicze w Mszanie Dolnej. Cieszyło to Marka, lecz jednocześnie przysporzyło mu znowu sporo nowych zadań do realizacji, jako prezesowi Zarządu tejże Spółdzielni, na którego został jednogłośnie wybrany. Mimo wszystko cieszył się i pracował nadal bardzo wiele. Zdawało się, że jednocześnie jest w kilku miejscach, gdzie swym uśmiechem i dobrym słowem obdarza wszystkich. Niestety, zbyt eksploatowany organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa. Odezwała się choroba, którą dotąd tuszował i lekceważył. Jeszcze 2 czerwca z radością przyjął meldunek, że wszystkie prace związane z rozruchem nowej przetwórni Spółdzielni w Limanowej zostały zakończone i można rozpocząć produkcję. Uradowany tą wieścią pragnął podzielić się nią z innymi, gdy nagle zasnął. Przewieziono go do szpitala w Limanowej, gdzie po kilku godzinach pobytu poczuł się już znacznie lepiej. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Śmierć i pogrzeb inż. Marka

Odetchnęli, jednakże nie na długo. Wczesnym rankiem inż. Marek podniósł się z łóżka i w tym momencie nastąpił nowy, bardzo silny atak serca, który spowodował, że serce to, które zawsze tak biło dla dobra innych nagle zamarło. Zatrzymało już na zawsze. Mimo natychmiastowej interwencji lekarzy, którzy usiłowali przywrócić mu życie, efekty ich pracy nie przyniosły pozytywnego wyniku. Inż. Marek zmarł. Wiść o jego śmierci lotem błyskawicy rozeszła się nie tylko po Limanowej i jej najbliższych okolicach, lecz obiegła również niemal cały kraj, a nawet znacznie dalej poza jego granicami.

Kim był dla tego terenu – i nie tylko – można było przekonać się w dniu jego pogrzebu, który odbył się 6 czerwca 1958 roku w Tymbarku. Takich tłumów żegnających go i takiego płaczu Tymbark dotąd nie przeżywał. Przed pogrzebem ciało inż. Marka, w otwartej trumnie, wystawione zostało w Domu Kultury, przy Owocarni, by przybyli żałobnicy mogli go pożegnać szepcząc słowa modlitwy. Do trumny jednak trudno było dojść z powodu nacierającego tłumu, nie pomogła interwencja służby porządkowej. Jakaś wyższa siła pchała ludzi do wnętrza sali, w której spokojnie już spoczywał ten, który był im przewodnikiem, bratem, czy ojcem – jak go nazywano w podziękowaniach za wszystko, co dla nich czynił. Głośny płacz i cichy szloch panował na sali, a także i poza nią. Ludzie uświadamiali sobie bowiem, że dobroczynne działania „Mariusia”, jak nazywało go wielu jego przyjaciół, skończyły się, że „Mariusz” więcej *nie będzie już godał*, nie uśmiechnie się i nie pocieszy. Żałowano go bardziej niż niejednego zmarłego z własnej rodziny. Kiedy zaś wyniesiono trumnę, by przetransportować ją do kościoła, rozciągnęła się długa kolumna „żałobników”. Trumna spoczywała już na katafalku w kościele, a tłum nadal dochodził do drzwi kościoła, który nie mógł pomieścić wszystkich uczestników. Również w kościele słychać było stłumione szlochy tych, którzy naprawdę go kochali. Podobnie było i na cmentarzu, gdzie spoczął na razie w zastępczej mogile. Lud żegnał swego dobrodzieja i opiekuna, swego nauczyciela i przyjaciela.

Józef Macko w swej książce pt. *Góry zakwitną sadami* – poświęconej pamięci inż. Marka, opisując jego pogrzeb, w zakończeniu pisze: *Tu złożono ją w tymczasowym grobie, który pokryły wieńce z kwiatów polnych, cetyny i gałązek przekwitającej jabłoni. Nad grobem żegnano Marka z trudnym do ukojenia żalem. Towarzyszyła temu pożegnaniu świadomość, że odchodzi działacz związany z Ziemią Podhalańską, najgłębiej troszczący się o jej losy. Rynek tymbarski zgromadził po pogrzebie tłumy chłopów, niezawodnych i wiernych towarzyszy Marka. Stali zadumani, panując nad wzruszeniem i nie przedstawiali przypominać sobie, jak Marek pracował z nimi i jakim był człowiekiem. Wszyscy wiedzieli, że Marek był „ich”, że do nich należał. Ubolewali serdecznie, że nie był za życia doceniany tak, jak mu się to należało, i nie był kochany tak, jak na to zasługiwał. Wiedzieli, że dużo więcej można by było spotem zdziałać za życia Marka, gdyby mu nie rzucano pod nogi tyłu kłód.*





Zaginiony portret inż. Józefa Marka



Budynek Owocarni

Limanowa, Tymbark i Mszana Dolna nazwały ulice imieniem inż. Marka. Również Spółdzielnia przyjęła imię swego twórcy. Ster prac w Zarządzie Spółdzielni objął po Marku jego uczeń mgr. Józef Kulpa, który prowadził tę placówkę w myśl wskazań swego wychowawcy i ideowego nauczyciela.

Osobowość inż. Marka i jego zaangażowanie w pracę pożyteczną dla dobra całej społeczności stanowi nadal wzór do naśladowania, który wykorzystywany jest również w kościołach i w nauczaniu religii. Aby nie być gołosłownym podaję fragment kazania wygłoszonego w dniu 14.10.2006 roku, w Kościele pw. Wszystkich Świętych w Brusach (woj. pomorskie), który przesłała nam Pani Władysława Pestka, była uczennica Zespołu Szkół im. KEN w Tymbarku. Oto on: *Pracuj sumiennie i rzetelnie*. Podobne wezwanie kieruje do nas Episkopat Polski w ABC Społecznej Krucjaty Miłości: *Pracuj rzetelnie, bo z owoców twojej pracy korzystają inni, jak Ty korzystasz z pracy drugih*.

Wokół siebie widzimy efekty rzetelnej pracy innych ludzi. Wystarczy wspomnieć miasta podniesione z gruzów np. Warszawę! Zbudowano nowe fabryki, nowoczesne zakłady przemysłowe, całe osiedla mieszkaniowe, nowe szkoły. Nawet obcokrajowcy z podziwem patrzą na nasze osiągnięcia. Z pewnością byłyby one jeszcze większe, gdyby wszyscy pracowali rzetelnie. A pracować rzetelnie to:

- wypełniać należycie nowe obowiązki,
- pracować uczciwie,
- nie obijać się,
- nie niszczyć materiałów i narzędzi,
- być słownym, dotrzymywać terminów,
- być solidnym, nie produkować bubli,
- nie opuszczać dni i godzin pracy,
- dać z siebie tyle, na ile nas stać.

Z pracą należy łączyć modlitwę, bo centralną troską człowieka powinna być praca według powołania Bożego, w stanie przyjaźni z Bogiem. Praca ludzka zostawia trwałą owoc. Każdy z nas korzysta z pracy innych. Spoczywa na nas moralny obowiązek służenia innym swoją pracą. Wartość pracy zależy więc między innymi od tego, w jakim stopniu jest ona pożyteczna dla innych, dla całej społeczności.

W latach 70. Tymbark w powiecie limanowskim był świadkiem manifestacyjnego pogrzebu. W orszaku pogrzebowym szli licznie przybyli księża oraz niezliczone tłumy wiernych – nie tylko z parafii, ale i okolicznych miejscowości. Wyjątkowy charakter pogrzebu podkreślały także liczne wieńce, sztandary, udział licznych delegacji. Był to pogrzeb inżyniera Marka, posła na sejm, dobroczyńcy całego Pogórza, a szczególnie rejonu limanowskiego, dziś postaci prawie legendarnej.

Pasją jego życia było niesienie pomocy biednym mieszkańcom Limanowszczyzny. Ze wszystkich sił starał się dla nich o pracę i zarobki. Wiemy, że te okolice pozbawione są wielkiego przemysłu, a praca na ubogich górskich glebach jest trudna i niewdzięczna. Kierując się dobrem ludzi tam mieszkających, kupił kawałek nieużytku w Tymbarku. Wykarczował go, wybudował szopę, postawił kocioł, dając tym samym początek znanej dziś szeroko przetwórni owoców „Tymbark”. W tym samym czasie propagował wśród mieszkańców zakładanie sadów, dostarczając po bardzo niskich cenach, drzewka owocowe.

Kiedy upaństwowiono przetwórnię, pozbawiono go funkcji kierowniczej. Nie zraziło go to. Wierzył, że rozpoczęte dzieło będzie już służyć ludziom. Sam natomiast założył gospodarstwo ogrodnicze w Mszanie Dolnej, a potem zainicjował szereg innych podobnych akcji. W tej pracy był niezmordowany. Może dla wielu było tajemnicą, skąd czerpał siłę do swojej pracy, co było źródłem jego przedsiębiorczości. Ci jednak, którzy go znali, pamiętają, że był człowiekiem głęboko wierzącym. Pogrzeb jego był wielką manifestacją ludzkiej wdzięczności za jego dobre serce i równocześnie hołdem za wytrwałą i rzetelną pracę, podejmowaną pomimo licznych trudności.

Jeżeli ludzie tak umieją docenić pracę, jakże będzie wynagradzał Ten, który powiedział: *Godzien jest robotnik zapłaty swojej* (Łk 10,7).

O matko Jasnogórska! Dopomóż, aby naród polski nie dawał się zwyciężać złu, ale zwyciężał złu dobrem. Amen!

Zakończenie

Inż. Józef Marek zmarł, lecz pamięć o nim nie została jeszcze zatarta. Prochy tego wielkiego człowieka spoczywają na tymbarskim cmentarzu, na miejscu honorowym, obok kaplicy cmentarnej. Grób ozdobiony jest tylko skromną kamienną kapliczką z Chrystusem Frasobliwym – symbolem cierpienia, którego Markowi nigdy nie brakowało oraz z lapidarnym napisem na tabliczce: Józef Marek ps. „Lanca” Serce oddał Bogu – rozum Ojczyźnie i daty: urodzenia 1900 i śmierci 1958.

Należy tu także podkreślić, że był człowiekiem nie tylko wierzącym, ale także bardzo pobożnym. Każdą nową pracę rozpoczynał znakiem krzyża kreślonym na piersiach. Często też przy pracy nucił jakąś pobożną pieśń. Także wsiadając na wóz czy do samochodu zawsze krótko modlił się. Pewna pani opowiadała mi, w czasie wspomniania inż. Marka z okresu okupacji ciekawą historię. Kiedy ukrywał się przez pewien czas mieszkał w okolicy rynku, w budynku mającym piętro. Na tym właśnie piętrze, gdzie mieszkał Marek, mieszkała również pewna pani, wysiedlona z okolic Poznania. Moja rozmówczyni, bawiąc się na podwórku wraz z innymi już „podrostkami” zauważyła, że wieczorem, kiedy już świecono lampy, w pewnym określonym czasie w jednym z dwóch pokoiów światło gaśnie, by po pewnym czasie znów się zaświecić. Powtarzało się to przez kilka dni. Młodzi zaczęli się dość jednoznacznie domyślać powodu. Aby się jednak upewnić, a i zobaczyć, jak wygląda prawda, przystawili drabinę tuż przy oknie i gdy światło zgasło najsprytniejszy kolega wdrapał się cichutko na drabinę, by zaobserwować to co się dzieje w pokoju. Jakież było zdziwienie, a także i zawstydzenie, kiedy szepnął z góry *modlą się*. Po zejściu opowiedział zebrany, że kiedy ta pani przyszła do Marka, ten wyjął z kieszeni różaniec, który odmawiali wspólnie. Była to dobra nauczka, aby nigdy przedwcześnie nie wydawać o kimś sądu, tylko na podstawie jakiś niejasnych skojarzeń.

Mimo upływu tylu lat społeczność tymbarska – i nie tylko – ciągle o nim pamięta. Jego grób niemal bez przerwy zdobiony jest kwiatami, często „póldzikimi” – symbolem tej ziemi, po której chodził i na której pracował dla dobra innych. Niemał też zawsze na grobie palą się znicze, kładzione przez „niewidzialną rękę”, by pamięć o nim uczcić i ocalić od zapomnienia, by nie zatarta się w ludzkiej pamięci. Jego imieniem nazywane są ulice różnych miejscowości, szkoły, zakłady pracy itp. Obecnie jednakże, chociaż z przykrością, należy stwierdzić, że coraz rzadziej go wspominamy. Rzadko mówi się o nim w szkołach, by dać dzieciom i młodzieży jego osobę, jako wzorzec prawdziwego społecznika i patrioty. A przecież osoba inż. Józefa Marka ze wszechmiar godna jest upamiętnienia i naśladowania.

Dlatego starajmy się, by postać ta ożyła w naszej pamięci i pozostała w niej na zawsze.

Anegdotki związane z „Marusiem”

Zaraz po zakończeniu działań wojennych w Owocarni odnośnie inż. Marka nastąpiła jakaś przyjazna atmosfera. Mówiono o nim nie jak o przełożonym, kierowniku, lecz tak prosto, po swojsku, jakby z dziecinną radością, zdrobniale „Maruś”.

Trudno dociec kto był pierwszym twórcą tego określenia – być może jakieś dziecko, ale określenie trafne i szybko przyjęło się wśród załogi przetwórci i członków Spółdzielni. Także wesoło wspomniano różne zachowania „Marusia”. Oto kilka z nich, podane przez jego ciocię Panią Bronisławę Szewczyk.

Pierwsza próba gotowania słodzonego soku z wiśni. Gotowanie odbywało się na wolnym powietrzu. Eksperymentowi temu przyglądała się grupka „przetwórców”, wśród nich Pani Bronisława Szewczyk – ciocia inżyniera Marka, a z zawodu nauczycielka – polonistka. Nad ogniskiem zawieszono kociołek z surowym sokiem wiśniowym. Powoli kociołek wraz z zawartością zaczął się nagrzewać. Wkrótce na powierzchni pokazały się pęcherzyki i sok zaczął „kipieć”. Maruś skoczył do kociołka, zaczął mieszać drewnianą łopatką, lecz to nie pomogło i kipienie z każdą chwilą było większe. Bezradny krzyknął w stronę Pani Szewczyk: *Co robić, ciociu, co robić? Trzeba nieco schłodzić wrzątek* – odpowiedziała ciocia. By tego dokonać, Maruś chwycił kubek z wodą, służącą do mycia rąk i „chlusnął” do kociołka. Przestało kipieć. Maruś dosypał obliczoną ilość cukru, wymieszał, spróbował i zaczął częstować nim zebranych. Podszedł też z kubkiem świeżego soku do cioci mówiąc: *Pijcie, ciociu soczek, pijcie, bo je bardzo dobry*. Co wszyscy przyjęli gromkim śmiechem. Produkcja była udana.

Jeszcze inne zdarzenie. Będąc na pielgrzymce w Kalwarii Zebrzydowskiej z córką i siostrzenicą, maszerował wraz z innymi pielgrzymami po „kalwaryjskich drózkach”, śpiewając nabożną pieśń ku czci Matki Boskiej Kalwaryjskiej. Nagle zobaczył straganik z gruszkami. By nie stracić wątku pieśni, a jednocześnie kupić tych gruszek dla towarzyszących mu pańienek śpiewał na melodię tej pieśni: *Gruski, kalwaryjskie gruski. Dobre kalwaryjskie gruski. Jydzcie dziopy gruski*. Za chwilę był inny straganik z kawą (zbożową). Maruś znowu nie przerwał melodii śpiewanej właśnie pieśni, lecz zmienił tylko słowa i śpiewał: *O kalwaryjska kawa. Dobra kalwaryjska kawa. Pijcie dziopy dobrą kalwaryjską kawę*, co wzbudziło wesołość otaczających go pielgrzymów.

W szkole w Łososinie, poza sadownictwem, Marek prowadził również lekcje z warzywnictwa, które jednak „nie leżały mu na sercu”. Kiedyś, omawiając produkcję pomidorów (wtedy prawie jeszcze nieznanego warzywa na tym terenie) mówi i opowiada, aż nagle przerywa, mówiąc: *tom reszta to wam może opowiedzieć Markowo na Kisielówce, bo ona lepi się na tym zno. A my, chodoki idziemy do szkółki*.

Będąc w Warszawie, w sprawie zatwierdzenia zgody na otwarcie w Tymbarku średniej szkoły o specjalizacji przetwórstwa i handlu ogrodniczego przy Spółdzielni znalazł się w sekretariacie ministra. Kiedy sekretarka oświadczyła, że pan

minister jest zajęty, inżynier wykorzystał moment, kiedy jej uwaga skupiła się nad wykonywaniem jakiejś czynności biurowej, wszedł do gabinetu ministra i bez pytania referował swą sprawę. Podszedł do biurka, przy którym siedział minister i klepiąc go po ramieniu powiedział: *Bo to wiecie ministrze, trza, żeby oświata krzewiła się na Podholu. Trza.* Pan minister podpisał podłożone przez Marka pismo. (według relacji sekretarki ministra).

Pewnego dnia Pani Helena – żona Marusia – zaczęła mu zwracać uwagę, na jego niewłaściwe zachowanie, czy jakieś zaniedbanie obowiązków domowych tak, że Maruś poczuł się dotknięty. W odpowiedzi na jej „potok” słów spokojnie odpowiedział: *Jużeście się to Markowo rozgdokali, już!* I wyszedł z mieszkania.

Kiedyś będąc w mieszkaniu nagle zainteresował się synem Jankiem, którego jakoś od pewnego czasu nie widział. Zapytał więc żony: *Markowo! Nie wiycie co się dzieje z tym chodokiem – bo go, jakoś ostatnio nie widuje? Już od pół roku jest w wojsku –* odpowiedziała Pani Markowa. *Acha, to jest w wojsku –* uspokoił się Maruś.

Kiedyś pracownicy administracyjni Owocarni stwierdzili, że Marusiowi należy kupić nowe „portki”, bo te w których chodzi mają już za dużo dziur. Pracownica sekretariatu, Panna Marysia Kordeczka, sporządziła listę pracowników i ruszyła z nią, by zebrać odpowiednią kwotę. Zaczęła od dyrektora Gwarka. Ten spojrzął na listę i bez słowa podpisał się oraz z uśmiechem i odpowiednim datkiem zwrócił ją Marysi. Ta z kolei podeszła do biurka, przy którym siedział Maruś. *Na cóz to zbieros dziopino –* spytał Marek biorąc do rąk podaną listę do podpisu, mimo iż w nagłówku listy był napis: *Na nowe portki dla inż. Marka.* Maruś podpisał się i wręczając jej odpowiednią kwotę powiedział: *jak dlo bidoka to trza. To trza.* Wszyscy pracownicy mieli z tego powodu sporo uciechy. Śmiał się również i Marek, kiedy wręczono mu nowe spodnie i przypomniano moment zbierania składki.

To tylko kilka wybranych anegdotek, którymi „z rękawa sypała” Pani Szewczyk, bawiąc wesoło zebranych słuchaczy.

Odnaczenia i nadane odznaki pamiątkowe

Wiele osób pyta, jakie odznaczenia otrzymał inż. Józef Marek za swą aktywną i wieloletnią działalność? Na to pytanie trudno odpowiedzieć z kilku przyczyn. Czasy, w których działał nie sprzyjały nadawaniu odznaczeń. Czas wojny, okupacja, a następnie wpływy komunizmu, to okres niezbyt przychylny tego typu działalności, a tym bardziej wyróżnianiu takich ludzi jak inż. Marek, który z różańcem w rękę szedł do pracy czy jechał pociągiem w podróż służbową. Zawsze kierował się zasadą, że modlitwa w czasie pracy pomaga – co widać również było w pracy Owocarni,

gdzie pracę rozpoczynano od śpiewu *Godzinek*, a później śpiewano pieśni maryjne. W śpiewach tych często słychać było i inż. Marka, który przebywał na odcinku tej hali produkcyjnej. Nie podobało się to władzom partyjnym, które starały się to zmienić, jednak inż. Marek twardo obstawał przy swej religijności, a do czego to doprowadziło – wiadomo, został niesprawiedliwie potraktowany i zmuszony do rezygnacji z pracy w Owocarni. To był pierwszy i być może najważniejszy powód nieprzyznawania mu odznaczeń w tym okresie.

Drugim powodem jest fakt, że część jego dokumentów została zniszczona przez czas oraz inne przyczyny, jak np. ukrywanie dokumentów przed rewizjami prowadzonymi przez okupanta, czy później przez organ UB. To, co po jego śmierci udało się zebrać najbliższym, stanowi niewiele, ale świadczy o postawie patriotycznej, tego znanego i kochanego przez nas Człowieka:

- *Srebrny Krzyż Zasługi* – po raz pierwszy – za zasługi w pracy społecznej z datą 1.08.1938 r., przyznany i podpisany przez gen. Sławoja Składkowskiego,
- *Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami* – z datą 25.01.1945 r. – nadany przez Pułk Strzelców Podhalańskich,
- *Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski* – z datą – 4.06.1958 r.,
- *Odznaka Honorowa Za mężność w potrzebie* – dla ochotników, którzy w lipcu i sierpniu 1920 roku w chwili krytycznej spełnili powinność wobec państwa,
- *Odznaka wspólnego pobytu byłych oficerów i żołnierzy Polskiego Korpusu Posiłkowego w obozach dla internowanych na Węgrzech 6.03-1918-1919,*
- *Odznaka Ochotników Artylerii – 1920 r.,*
- *Odznaka kl. II internowanych Legionistów w obozie Marmarosz Siget na Węgrzech.*

W wykazie ogólnopolskim podanym na stronach internetowych wymienione jest nazwisko Józef Marek pięciokrotnie, ale bez bliższego podania miejsca zamieszkania, względnie pochodzenia tej osoby.

Rzeczpospolita Polska



NA ZASADZIE ART. 5 USTAWY Z 23 CZERWCA 1923 R.
(DZ. U. R. P. Nr 62, POZ. 438)

NADAJĘ

182. JÓSEFOWI MARKOWI

PROFESOROWI PAŃSTWOWEJ SZKOŁY ROLNICZEJ W ROSOSINIE GÓRNYEJ
POWIATU LUBAWSKIEGO

SREBRNY KRZYŻ ZASŁUGI

PO RAZ PIERWSZY

ZA ZASŁUGI NA POLU PRACY SPOŁECZNEJ

WARSZAWA ONIA 1 sierpnia 1938 r.

PREZES RADY MINISTRÓW

/Stanisław Składkowski/

1 PUŁK STRZELCÓW PODHALAŃSKICH

Mp. dn 15.5.45.

Lemka

Komendant Główny

rozkazem ■ ■ ■ k.g.

84/B.P. uczyłowski awansował Pana do stopnia ppow.
ze starszeństwem z dnia 1.5.45

Dowódca Pułku

Borowy

Osoby, z którymi przeprowadzono wywiady/rozmowy:

1. **Maria Antos** – najstarsza córka inż. Marka
2. **Antoni Batorski** – radca prawny PZPOW
3. **Franciszek Bubula** – sadownik, działacz społeczny
4. **Stanisław Ceglarz** – Prezes Związku Nauczycielskiego w Limanowej
5. **Jan Dulęba** – Dyrektor Szkoły Ogrodniczej w Mszanie Dolnej
6. **Józef Kulpa** – Prezes Spółdzielni Ogrodniczej w Limanowej
7. **Stanisław Krzyściak** – pracownik Podhalańskiej Spółdzielni Owocowo-Warzywniczej w Limanowej
8. **inż. Józef Marek**
9. **Jan Marek** – syn inż. Józefa Marka
10. **Lidia Marek-Jurkowska** – kustosz Muzeum Regionalnego w Limanowej
11. **Jan Macko** – sadownik, działacz społeczny z Piekietka, współzałożyciel „Owocarni”
12. **Anna Milli-Pikulska** – nauczycielka Żeńskiej Szkoły Rolniczej w Koszarach (w okresie okupacji)
13. **Bronisława Szewczyk** – nauczycielka, ciocia inż. Marka
14. **Stanisław Szymański** – Dyrektor Spółdzielczego Liceum Przetwórstwa i Handlu w Tymbarku
15. **Władysław Wietrzny** – dowódca placówki „Trzos” AK w Tymbarku

Literatura:

1. Batorski Antoni – *Kronika Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Tymbarku*.
2. Kulpa Józef – *Wkład PSOW w Tymbarku w walkę wyzwolenczą narodu w latach 1939–1945*.
3. Macko Józef – *Gdy góry zakwitną sadami*.
4. *Podhalańska Spółdzielnia Owocarsko-Warzywnicza im. Józefa Marka w Limanowej 1935–1975*.
5. *Protokoły z posiedzeń Rady Nadzorczej PSOW*.



Stanisław Wcisło

(ur. 25.07.1930 r. w Ostrowach nad Okszą, k. Częstochowy). Z Tymbarkiem związany od 1948 roku, kiedy to rozpoczął edukację w tutejszym Spółdzielczym Liceum Przetwórstwa i Handlu Ogrodniczego - był jednym z pierwszych jego absolwentów.

W latach 1950-1986 nauczyciel tejże szkoły, obecnie funkcjonującej jako Zespół Szkół im. KEN w Tymbarku.

Spółecznik, pasjonat i znawca historii regionu, szczególnie dziejów Tymbarku i tymbarskiego dworu. Swoją wiedzą, dotyczącą historii Małej Ojczyzny, chętnie dzieli się w trakcie spotkań z młodzieżą czy publikując artykuły w lokalnej prasie.

